



ANNA NOWACKA

SOS

STOWARZYSZENIE
OBROŃCÓW SMOKÓW

ILUSTROWAŁA
OLA BYLICA

KROPKA



ANNA NOWACKA

SOS

STOWARZYSZENIE
OBROŃCÓW SMOKÓW

KROPKA

Wszystkie postaci, stworzenia i wydarzenia opisane
w książce są prawdziwe, a wszelkie podobieństwo
do osób żyjących nie jest przypadkowe

*Mojemu Tacie – pierwszemu
opowiadaczowi w naszej rodzinie*

ROZDZIAŁ I

Czemu musimy teraz iść na ten głupi Wawel? Staszek był poirytowany zachowaniem starszej kuzynki. Helena nie słuchała jego litanii prośb i żaleń. Zamiast tego zawzięcie ciągnęła go za rękę w kierunku zamkowego wzgórza.

– Puść mnie! Chcę zobaczyć fajerwerki, wszystko psujesz!

– Staszek, nie marudź! To, co mamy do zrobienia, jest ważniejsze niż kolorowe maziaje na niebie. Musimy iść, rozumiesz?

Chłopiec wyrwał ramię z uścisku.

– Nie! Nie ruszę się stąd ani na krok, jeżeli nie powiesz mi, czemu ma mnie ominąć coś tak fajnego!

Dziewczynka potarła czoło wierzchem dłoni, a z jej ust wydobył się pomruk niezadowolenia.

– Obiecuję, że to, co chcę ci pokazać, jest tysiąc razy fajniejsze... Zaufaj mi. – Wyciągnęła w stronę kuzyna mały palec lewej ręki. – Ostatni raz, proszę...

– Dobra... Ale jak to będzie jakiś kanał, to wszystko wygadam rodzicom. Ostrzegam!

– OK... A teraz chodź, mamy mało czasu.

Była noc świętojańska, w Krakowie zwana Wiankami. Mieszkańcy co roku tłumnie okupowali wały Wisły. Tysiące ludzi rozkoszowało się ciepłą czerwcową nocą, świętowało nadejście lata i zakończenie roku szkolnego.

Przyspieszyli kroku. Wypolerowane kocie łby odbijały światła wybuchających na niebie sztucznych ogni.

– Jak masz zamiar ominąć strażnika, geniuszko?

Hela nie odpowiedziała. Zbliżając się do wartownika, zsunęła z głowy kaptur, a z kieszeni wyciągnęła prostokątną plakietkę. Na szczycie budki ochroniarza zamrugało zielone światło. Automatyczna brama uchyliła się delikatnie.

Staszek zaniemówił. Co jest?



Zanim zdążył zapytać kuzynkę, jakim cudem zdobyła przepustkę, ta przyłgnęła do muru i pociągnęła Staszka za sobą.

– Obserwują nas – szepnęła, wskazując palcem na światło szperacza przeczesujące dziedziniec zamkowy.

Wolnym truchtem przebiegli wzdłuż obwarowań do ceglanej wieżyczki prowadzącej do Smoczej Jamy.

Helena nacisnęła guzik i ciężkie, metalowe drzwi się uchyliły. Oboje wbiegli do środka.

Dziewczynka oparła się o zimną, lekko wilgotną ścianę.

– Blisko było.

– Blisko czego?

Odpowiedział mu jedynie szelmowski uśmiech.

– Chodź, musimy zejść na sam dół.

Aby dostać się do jaskini pod wawelskim wzgórzem, należało pokonać 135 schodów, ciasno ułożonych w spiralę. Staszкови kręciło się w głowie, Helena zbiegała, przeskakując po dwa stopnie, następnie podbiegała do góry, wykonywała obroty i znowu zbiegała w dół.



– Mogłabyś trochę zwolnić? Ćmi mi się w oczach.

– Muszę wstukać kod, cierpliwości.

Chłopiec się zatrzymał.

– Możesz mi powiedzieć, co my tu robimy? Zachowujesz się jak wariatka. Przysięgam, że nie pisnę słowa rodzicom, ale musisz mi wyjaśnić, o co chodzi.

Nagle stopnie pod nimi ugięły się, tworząc płaską powierzchnię.

– Trzymaj się mocno! – krzyknęła, zanim wibracje ogarnęły podłogę, a siła odśrodkowa rzuciła nimi o ścianę.

Przez parę sekund ich ciała unosiły się w przestrzeni niczym w stanie nieważkości, by następnie uderzyć z impetem o piaszczystą ziemię.

Dzieci wstały i otrzepały się z kurzu. Dopiero teraz Staszek zauważył, że jego kuzynka pod pasiastą luźną koszulką skrywała ciemnozielony, łuskowaty kostium opalizujący niczym benzyna.

– Nie ma co owijać w bawełnę: to wejście jeszcze należy dopracować – mruknęła. – Jesteś cały? Kończyny parzyste? Widzenie w normie?

– Taaak, raczej tak. Tylko chyba nabiłem sobie guza... Możesz mi w końcu powiedzieć, co się dzieje? Kim ty jesteś i gdzie ja jestem?

– Oczywiście, oczywiście... Twoja mama planowała to inaczej, miałaś być przyjęty z honorami, tak jak ja, gdy skończyłam dziesięć lat... Ale łowcy opanowali całe miasto, nie możemy korzystać z tradycyjnych wejść, a to tutaj... No cóż, można by rzec, że jest rozwiązaniem awaryjnym. Chodźmy, bo się spóźnimy na odprawę.

Ciemny korytarz doprowadził ich do pierwszej sali, wapienne sklepienie podtrzymywały tu dwie betonowe kolumny. Hela wskazała światłem latarki na szczelinę po lewej stronie.

– Tędy.

Przez chwilę szli gęsiego w całkowitej ciemności. Ciasny korytarz ustąpił miejsca obszernej sali. Jej podłoga wyłożona była misternie rzeźbionymi płytkami w kształcie smoczych głów.

Pomieszczenie oświetlały ogromne łojowe świece, ustawione na ciężkich, mosiężnych kandelabrach w kształcie zakrzywionych pazurów. Co jakiś czas słychać było trzepot skrzydeł przelatujących im nad głowami nietoperzy.

Wszystko jasne. Moja kuzynka jest wampirem, zaświtało w głowie Staszka.

– Wiesz, rodziny nie powinno się zjadać... Na pewno jakoś możemy to wytłumaczyć, może jakiś bank krwi, przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek...

– Ty myślisz, że chcę ci wbić kły w szyję? Ha, ha, ha! Nie wytrzymam. ŻENADA.

Helena pociągnęła gwałtownie za zwisający z sufitu złoty łańcuch. Burgundowe kotary, szczególnie okrywające ściany, rozsunęły się, ukazując długi szpaler wielkich olejnych portretów.

– Witaj w SOS-ie.

– Nie dam się zeżreć. Ani w sosie, ani z keczupem!

– Nie mogę z tobą... To nie sos, tylko SOS, ma-
tołku. Stowarzyszenie Obrońców Smoków, w skró-
cie SOS. – Dziewczynka szerokim gestem dłoni
wskazała na pierwszy, wiszący przed nimi wizeru-
nek. – To twoja, to znaczy nasza praprapraprapra-
prapraprababka Wanda, córka króla Kraka, niezłe
ziółko. Założycielka SOS-u. Pewnie kojarzysz, była
w średniowieczu swoistą celebrytką, odrzuciła za-
loty pewnego Niemca, pisali o niej pieśni i czułe
sonety.

– Taaaaak... Czy ona przypadkiem nie skoczyła
do Wisły?

– Plotki i niesprawdzone informacje z drugiej
ręki. Musiała się ukryć, więc opowieść o utonięciu
w odmętach wielkiej rzeki wydawała się dobrym
pomysłem.

Z obrazu spoglądała na nich posągowa piękność
o prawie białych włosach zaplecionych w gruby
warkocz. Na jej piersi spoczywał sporej wielkości
ryngraf z wizerunkiem czerwonej smoczej głowy,
o lekko przymrużonych intensywnie żółtych
oczach.



– A ten oto ancymon to twoja prababka Helena.

Obok portretu Wandy wisiał obraz przedstawiający niską, przysadzistą, pewną siebie kobietę.

– Pochodziła z Kresów, wczesne dzieciństwo spędziła w Rumunii wraz ze swoją matką Olgą. W wieku zaledwie czternastu lat płynnie mówiła starosmoczym. W czasie pierwszej wojny światowej uratowała aż dwieście jaj dragona niskopiennego, tym samym przyczyniając się do przetrwania tego gatunku. Dożyła stu dwóch lat, umiała wytropić każdego pomruka... Ach, łezka się w oku kręci.

– Pomruka?

– A no tak, zapominam, że jesteś niedrakiem.

– Nie czym?

– Niedrakiem, człowiekiem myślącym, że smoki to bajeczki dla dzieci i stare legendy.

– Aha... A to drugie... pomruk?

– Pomruki to potomstwo smoka i kota. Dziwna mieszanka, jak już się wyklują, to nie ma szans, by je kontrolować.

– To teraz już wszystko jasne... Możesz mi powiedzieć, co ja tu robię?

Helena kopnęła mały kamyczek przed sobą, chrząknęła i podrapała się po łydce.

– Tak, oczywiście. Wszystko po kolei... O, popatrz tutaj, to twoja babcia. Ją to kojarzysz, co nie?

– Babcia Marysia!? – Z ust Staszka wydobył się okrzyk zdziwienia.

Stał przed ogromnym, oprawionym w masywną złotą ramę obrazem. Z jego mroku wyłaniała się znajoma postać. Krótkie siwe włosy miała lekko potargane i nastroszone. Dopasowana butelkowo-zielona zbroja szczelnie okrywała jej ciało. Jej szyję otulał, niczym sobolowy szalik niewielkich rozmiarów, dragon niskopienny. W ręce trzymała talerz z parującą porcją pierogów.

– Co jest? Przecież babcia boi się węży i ciemności. Dziadek o tym wie? I czemu pozuje z obiadem?

– Dywersja przede wszystkim, najciemniej pod latarnią, mój drogi. A pierogi... No, to są pierogi desantowe, broń doskonała przez lata. Cud-miód współczesnej techniki dragoochronnej. Każda Wielka Mistrzyni stworzyła autorski przepis... Wróć! Prawie każda, prababcia Irena broniła się struclą.

Staszek przez dłuższą chwilę przyglądał się portretowi. Babcia Marysia wydawała mu się zawsze postacią kruchą niczym pisklak, kochającą spokój i leniwe poranki w domu na wsi. Jakim cudem udało jej się dochować tak wielkiego sekretu?

Z zamyślenia wyrwało go dziwne uczucie. Coś otarło się o jego kostki.

– Szszszczuuuryyyy!

– Nie, to nie szczury, spokojnie, to kurzogrzmoty, twoja babcia hoduje je masami. Są przyjazne i niegroźne, popatrz.

Helena kucnęła i wyciągnęła dłoń w kierunku małej rudej kulki ukrywającej się w rogu jaskini. Stworzonko nieufnie obróciło okrągłą głowę w jej stronę.

– No chodź, mały, musisz się pokazać, bo ten tutaj dostanie zaraz zawału. Kurzogrzmoty to mieszańce. Pamiętasz, jak ci czytałam, że kury to bezpośredni potomkowie dinozaurów? No to ewolucja potrafi tworzyć zaskakujące ścieżki. Otóż grzmotniki gargulce, dość nietypowe smoki miejskie o niedużych rozmiarach, cierpią na brak partnerek. Z tego powodu



skrzyżowały się z kurami zielononózkami. Tak powstały kurzogrzmoty. Łatwe do udomowienia, potulne, lubią przebywać w stadzie. Mają niezwykle wyczulony węch, musisz im przypominać w zapachu babcię Marysię, przybiegły się przywitać.

Staszek usiadł na ziemi.

– Ej, drobio-gadzie, chodź tu do mnie... Jak to się woła? Cip, cip? Czy może syk, syk?

– Noooo... można i tak, ale łatwiej po imieniu. Babcia ma fioła na punkcie nazw rodem ze sklepu mięsnego, więc od lewej stoją: Parówka, Karkówka

i Serdelek, a ten tu – Helena podsunęła Staszкови pod nos otwartą dłoń z kurzogrzmotem – to Boczek.

Maluchy były rozkoszne. Wyglądem przypominały bombki choinkowe.

– Zioną ogniem?

– Nie. Ale znają pięćdziesiąt cztery ptasie języki, to prawdziwi smoczy poligłoci.

Chłopiec próbował uporządkować w głowie ostatnie wydarzenia.

– Czyli tak po prostu... postanowiłaś mi powiedzieć... że wszystkie kobiety z naszej rodziny zajmują się w jakimś tajnym soso-czymśtam niańczeniem mistycznych bestii?

– Eeee... Nie wszystkie. Po pierwsze ciotka Zośka nigdy nie uwierzyła w całą historię, a Janka, zanim zdążyły ją wprowadzić, zwariowała na własną rękę... No ale z grubsza większość z nas tak... I nie są to bestie, to mądre, długowieczne istoty o gołębach sercach. Poza tym oficjalnie to organizacja, a nie tajne czary-mary.

W tym momencie w głowie Staszka pojawiła się myśl, która niczym rozlewające się na patelni

ciasto naleśnikowe pokryła każde połączenie neuronowe.

– MAMA – wypłuł słowo jak pestkę od czereśni.

